

Zdzisław Broncel

„Pon wieszcz” Odwiedziny u Jana Wiktora w Szczawnicy

Siwy. Ale jeszcze nie tą siwą białą, młeczną. Jan Wiktor jest w sile wieku i jego siwa czupryna, gęstwa włosów zaczesanych wtył, rozrzuconych nad czołem, jest raczej popielata i srebrzysta. Gdy z dalszym biegiem lat Jan Wiktor zobaczy jeszcze więcej smutku na ziemi, gdy jeszcze więcej spotka ludzi nieszczęśliwych, zszarpanych przez złą dolę i gdy wówczas włosy zbieleją mu zupełnie — to przecież nie zmieni to chyba jego postaci. Męskiej, barczystej, ciężkiej.

Ręce ma wielkie i silne, a tylko tak dla niepoznaki, na zwykły spokojny dzień zwisają leniwo w dół, albo kładą się żyłastymi, ciemnymi dłońmi na kolanach. Jest wysoki, a tylko się pochylił. Jest pisarzem o dużym rozgłosie, o rzetelnej zasłudze społecznej. „Wierzy nad Sekwaną” dały mu nieposłuszenie imię — a tylko wydaje się taki szary i zwyczajny i prosty.

Dlatego, że jest skromny, że pisanie uważa za służbę i pracę, a nie za zdobywanie sławy, że nie żyje w świecie kawiarnianych pochwał, dyskusyj, zebrań, publicznych występów i fabrykowania sobie reklamy.

Oto zaprasza nas do swego domu. Na poddaszu dwupiętrowej willi otwiera drzwi i szeroką dłoń wskazuje wejście.

Trzeba uwolnić krzesło z paki papierów i ze sterty książek. Jan Wiktor siada na łóżku, opiera się o ścianę. Stół zawalony jest gazetami i notatami. Właściwie są to dwa stoły zsunięte jeden do drugiego, żeby mogły pomieścić wszystkie rzeczy, jakie codziennie wyciągnie się z półki i cienie na stół. Żeby były pod ręką. Musi być też miejsce na arkusze żółtawego papieru o kancelaryjnym formacie. Wiktor pokrywa go drobnymi literkami — sieje po nim czarnym mazkiem pisaniny. Co który zapisze, odkłada na kupę do innych. Tak powstaje powieść.

Kiedy naraśnie sterta rozdziałów i rękopisy zawadzają przy pracy, odkłada się je na stół w kącie pokoju. Tam leżą pod opieką drewnianej figury Chrystusa, rozpiętego na krzyżu. Zezierały światłem o twarzy dziwnej, zadumanej i bardzo bolesnej, patrzy oczami głęboko w człowieka. Nie sądzi, nie wyrzuci win, nie przypomina grzechów, tylko mówi — widzicie mnie, że jestem na krzyżu. Co mam więcej uczynić?

A pod sufitem, na wieku szafy z książkami dwa anioły ze złotymi skrzydłami w niebieskich sukienkach, pulchnymi rękami wspierają zafrasowane figury świętych. Stoi przy nich inny światek w czarnym habicie, przepasany sznurkiem — może nawet i św. Franciszek, siedzą Chrystusiki gipsowe z głowami opartymi na prawej ręce, wreszcie w rogu ściany leżą obrazy, malowane na szkło.

Jedna ściana pokoju — to łóżko, druga i trzecia — to książki, czwarta, to wyjście na balkon i widok na całe Pieniny.

Dom, w którym mieszka Wiktor stoi prawie na szczycie wzgórza szczawnickiego. Niedaleko od zakładu zdrojowego. Z pokoju Wiktora ogarnia się wzrokiem po prawej stronie nagą, połonną górę z krzyżem, po lewej kładą się jeden za drugim lesiste, ciemne grzbieciny Pienin. Gdzieś tam gdzie sterczą na grzbiecie samotne drzewa, w lesie szczytów znaczy się biała lub czerwona skała, w dali dopiero, słusznie wyniesione nad resztę, zazębiają się z błękitem nieba trzy szczyty Trzech Koron.

Kiedy jest słońce wygląda białą, kamienną i świetlistą i są, jak korona Władysława Łokietka na grobowcu w katedrze wawelskiej, w dzień pochmurny i deszczowy, chowają się w puzdro chmur, ociągają głami i w bezbarwnym niebie mającymi samymi

clenlem — przywidzeniem.

Twarzą w twarz z Pieninami Jan Wiktor wybrał sobie siedzibę. Posiada jeszcze i drugi dom — w Krakowie, taksamo pokój na poddaszu, którego ozdoba są książki, góralskie świątki i góralskie malowania na szkło. Nic dziwnego, Wiktor zrół się z temi stronami, nie pamiętam, od ilu już lat mieszka w Szczawnicy, ale będzie tego około dziesiątka.

Pukanie do drzwi. — Proszę! Z pokłonami, z gestem, wchodzi dwóch gazdów. Zdejmują czarne kapelusiki z koralikami — my tu przyszliśmy do pana wieszcz...

Wiktor ma rozsądzić spór. Jest panem wieszczem, więc osobą uczoną, niech sądzi. Ba, do „pana literata” schodzą się nawet żydzi, nie pogodzeni przed rabinem. Czapkują, wiewają chałatami, gładzą brody, skubią pejsy, w ostrożnych słowach wyluszczaają sprawę: niech on powie...

Wiktor chodzi po wsiach. Zagląda do biednych chałup, odwiedza osiedla na halach i podgórzach, tam, gdzie największa bieda, przygląda się lekcjom w szkole i wyprowadza wraz z bacą owce na wiosnę.

— Ani się przypuszcza — mówi zeicha i z przejęciem — jaki tu jest cudowny świat. Ile starzych wierzeń, ile jakichś zamierzonych wier, obrzędów i sposobów wymyślonych przez koczowniczych pasterskich przodków. Chrześcijaństwo pozmięniało przesady, połączyło je z nawykami chrześcijańskimi, ale nie wypełniło do cna dawnego pogaństwa i czarodziejstwa. Cóż, dziwiny się, że chrześcijaństwo jeszcze nam nie dość zapadło w duszę i że bez mała przez dwa tysiące lat nie przerobiło świata, a tu przecież trwają zewnętrzne ślady pogaństwa.

— Czy Pan zmówił się kiedy z bacą na wyjście w góry?

— Nawet dokładnie zapisałem wszystko, com widział. Najpierw w zagrodzie bacia kropi owce jedliną i pokrzywą, maczaną w wodzie. „Cetyna jedli dlatego, bo to najpachniejszy las, żeby mleko pachło pachnością lasu”. Cetyna — to gałąź jedlinowa, zerwana w wigilię św. Wojciecha. Pokrzywa ma znów dwie siły: gorzyc i smak, więc broni zdrowia, odgania choroby. Woda do kropienia też nie jest zwyczajna. W dzień Bożego Narodzenia, w samo południe, gdy ksiądz Mszę św. odprawia, trzeba z zamrażniętej rzeki odłupać trzy kawałki lodu, położyć do miski, z której przez rok jada „cała familja”, miszkę ustawić na piecu, jak się woda stopi, zlać do flaszki i schować. Wyciągnąć ją z komody dopiero w Wielką Sobotę, ugotować w niej wielkanocne jajka i poświecić razem ze „Świąciliwą”.

— Jak już bacia owce pokropił — opowiada dalej Wiktor — wtedy przykleka w świetlicy przed obrazem: „Wybieram się z Panem Jezusem — tak się modli — za górę, za lasy, żebyś Panie Boże dał zdrowie mi i żywienie”. Na wóz naładzili tymczasem wszystkich statków, potrzebnych przy udoju i na halnem gospodarstwie: końcem bicia mały krzyż naznaczyć koniom przed kopytami, splunąć trzykrotnie jak trzeba i gotowe — można ruszać w drogę.

— Teraz dopiero idzie rzecz najważniejsza. Zakładanie koszar. Koszar to jest ogrodzenie w hali dla owiec. Nie byle jak trzeba je uświęcić i zaczarować, żeby się mleko darzyło i owce nie ginęły. Z porwanej przez wilka owcy, albo ze zgubionej bacia się nie wykupi, nie uda mu się powiedzieć, że owca zdechła. Jak sama z siebie padnie, musi bacia odnieść do wsi uszy na dowód.

— Więc przy koszarze mają być takie ciekawe obrzędy...

— A tak. Dawniej koszary do-

brze zakładał Guś z Krościenka, czarodziej, dostawał za to ser z całego pierwszego podaju. Dziś bacia musi sobie sam radzić. Koszar zawsze zaczyna się stawiać „od wychodu słońca”. Ziemię znaczy się krzyżem, okala kołem ryśowanym święconą kredą. Najważniejsze jest wbicie pierwszego palika ogrodzenia. Przy wbijaniu musi bacia trzymać palik między dwiema gruszkami wołowymi, ukradzionymi z wielkiej



Bacia kropi owce wodą z chrzcielnicy

świecy wielkanocnej, z „paschy” w kościele.

Oto owce trzeba jeszcze skropić wodą, musi to być woda podobrana z chrzcielnicy z miejsc odpustowych. Bacia macza jedlinę w wodzie, przyska wodą na kierdel i powiada: „Wodzie święta Pieninki Maryji, ty wodzie góry, lasy, seledzkie korzenie, obmyj moje nędzne stworzenie”. Jak pokropił, zabiera się do kadzenia. Ostrugał trzy drobiny z owych świętych gruszek, trzy drobiny z sopla wosku, kapiącego ze świecy płonącej na ołtarzu św. Trójcy, rzucił trzy włókna z kapy kościelnej, trzy wiórki z zieli: ze świnińskiego korzenia, z żółtego ziela, z szertowca — a zbiera się to ziela na „bibilej górce”, albo w Pieninach w przeddzień św. Wojciecha — teraz układa na desce dziewięć węgielków z ogniska, juhas dmuchnie, wystrzeli dziewięć płomyków, bacia je zaraz zasypie okruciami ziela i wosku, wolno podniesie się wonny dym. Rozpoczyna się okadzanie. Bacia trzy razy z dymiącą deską obchodzi około owiec, przyklekając

na każdym rogu, czworokątnego koszar.

— Czy na tem kończy się czarowanie i odżeganie uroków? — Jeszcze nie. Zwykle życie na hali zaczyna się dopiero po udoju. Pierwszy udoj najważniejszy, daje wróżbę na całe bacowanie. Zanim zaczną doić, juhasy trzy razy chuchają w dłonie i trzy razy się przezegnąją, żeby wymionka nie parszywała, żeby ręce były dla owiec szczęśliwe.

ojcowie odprawiają obrzędy po halach, dzieci chodzą do szkoły powszechnej, uczą się czytać, pisać, geografii, polskiej historii, a pani nauczycielka przyzwyczaja ich do takich rzeczy, jak i chustka do nosa.

— Nie patrz tu na to źle? Czy aby nie jest tak, jak w gadce o kmiotku Roztropku, co się chwalił, że co on na ziemię strząchnie, to panowie zawijają w chustkę i w kieszeń kładą?

— Szkoła ma wielkie poważanie. Rodzice sami pędzą dzieci do szkoły. Pamiętam przecież, jak to było za moich szkolnych czasów. Aby książki pod pułap i dalej, lecieć w pole. Dziś jest inaczej. Dzieciaki garną się do szkoły, a starzy rozumieją, że dziecku jest potrzebna nauka. Żeby pan tylko popatrzył, jak tu wygląda taka „wywiadowka”...

— Pan pewno często zachodzi do szkoły, skoro pisze pan powieść o góralskich dzieciach? — Dostałem pozwolenie z kuratorium, nawet na bywanie na lekcjach. Ułożyłem sobie plan, żeby odwiedzać szkołę, począwszy od pierwszego dnia nauki. W powieści właśnie ma się rzecz zacząć od rozpoczęcia roku szkolnego. Doprowadzę ją do wigilii, będzie to jakby pierwszy tom — jesień. Może będę pisał i dalej — chciałbym, ale nie wiem, nie można tak sobie na przyszłość układać. Nie mogę się spodziewać, co mi przyszłość przyniesie. Teraz przecie, to ten temat pali mi się w rękach. Ledwo miałem pisać mały obrazek z życia szkoły, a tu mi się wszystko tak rozrosło, tak roztraskało szeroko. Wprowadzam dzieci, wprowadzam młodą wieś i dawny świat starich. Tej wiejskiej starości należy się osobne miejsce i osobne współczucie. Nie daj Boże, jaka ciężka jest starość na wsi. Synowie mówią o ojcu — dziadym: żeby się już raz stracił, niepotrzebna żyłka przy miśle. Twardzi są, bo walczy z biedą. Zab za zęb szarpną się z nędzą.

— Toż ta nędza musi i w dzieciach się odbić?

— Pewnie, że się odbija. Zaciekało mnie, co też dzieci jedzą. Poprosiłem nauczycielkę, żeby mi dała takie wypracowanie: co jadłem na rano, na obiad, na wieczór. Przejrzałem potem odpowiedź. Prawie wszędzie pisało rosół, albo cyr, albo też kapuśniarka. Trzeba dopiero wiedzieć, co jest poza temi nazwami. Cyr jest poprostu mąka rzuconą na gorącą wodę, kapuśniarka — woda z kapustą, a rosół — pozał się Boże nad tym chłopskim rosolem — jest to odwar z ziemniaków, na który się puszcza kulkę loju baraniego. Charakterystyczne, że dzieci żydowskie odpowiadają inaczej: jedzą tyle, ile chcą, piją mleko, kawę, zjadają jajka i pisały w swoich zeszytach, że zawsze, jak poproszą, dostają jeść.

— Czyż polskie dziecko ciągle ma ten „rosół”?

— Jest tu taka dziewczynka. Widzi pan ją na fotografii. Nazywa się Kasia. Pytam się jej — Kasiu, co jadłaś? — Ziemnioki — trzepie i śmieje się? — A wczoraj? — Ziemnioki — i założyła rączki za pazuchy. — A omaszczona? — Mama nie mają omasty. — A z mlekiem jadłaś? — Jadłam! — A kiedy? — Łońskiego roku... — i rezolutnie podnosi wesołą buzię.

To nie jeszcze. W górach, tam, gdzie ze dwa razy na rok zjeżdża do Krościenka, albo do Szczawnicy, na wiosnę nędza jest straszna. Spotkałem dziecko jedzące korę bukową zamiast chleba... Ach, żeby te moje słowa były krzykiem, czy ostrzeżeniem! Żeby dotarły do ludzi! Piszę książkę, bo może nią ludziom pomogę, ale ważniejsza jest żyłka strawy dla biedaka, niżli książka. Książka, to jednakże jest ten luksus, to masło, a coż

mówić o masle, kiedy chleba nie ma, nawet i razowego. Literatura musi być na usługach życia. Za to, że jest tym luksusem, musi się wypłacić ludzkiej biedzie walką o krzywdę ludzką!

— „Wierzy nad Sekwaną” są jednym płomiennym protestem. To nawet więcej czyn społeczny, niż czyn literacki. To przedewszystkiem wydarty kawał życia, a po tem dopiero książka. Pan chyba ma wielką radość w pisaniu, skoro może pan służyć dobrej sprawie właśnie tak, jak „Wierzbami nad Sekwaną”?

— Za „Wierzy nad Sekwaną” toż to było na mnie ataków! Mówiono, że przesadził, że przekoloryzował. Miałem tylko nagrodę w tem, że we Francji, w fermach i w kopalniach brano tę książkę, jak wielką osłodę i pociechę. Nareszcie mówiono — ktoś się za nami ujął. A w „Wierzbach” prawie wszystko jest prawdą. Zwiedzałem więzienia, rozmawiałem z adwokatami polskimi, poznałem owe zapadłe szyneczki, gdzie się schodzą emigranci. Wystarczy powiedzieć, że paryżanie niektóre ulice nazywają „polskimi”, bo po piętnaście polskich dziewczyn spotka się na jakiej ulicy. Ten to eksport hańby idzie z naszej polskiej wsi. Zaczyna się od wyjazdu na dorobek, a kończy na prostytucji, na zatrucie.

Kiedy życie tyle ma w sobie nieszczęścia, największą radością dla pisarza jest otrząść choć jedną łzę. Spośród całej swojej pracy literackiej najmłodniejszy jestem z pewnego skromnego artykułu. Zauważyłem w szkole, że jakiś chłopiec ulewał herbatę ze śniadania do butelki. Poszedłem potem za nim, gdy wychodził ze szkoły — pokazało się, że niósł herbatę dla chorej matki. Matka ciężko chora nie mogła nic jeść i żyła tylko tą herbatą, którą przynosiło jej dziecko. Dzięki artykułowi zebrałem 1400 złotych. Wejdzcie ta nieszczęśliwa rodzina do mojej powieści.

— Widzę, że pan bardzo wiele bierze z obserwacji?

— Tak. Piszę to, co widzę. Jeśli nie zaobserwuję, a piszę, to też jakoś tak się staje, że to jest zgodne z rzeczywistością. Nie wiem, jaka tego przyczyna, ale mam dziwne widzenie prawdy. Komponuję powieść zdarzeniami i obrazami. Mało jest akcji w moich powieściach, to jest zresztą ich bieda, najważniejsze jest samo słowo. Słowo takie, żeby było prosto z serca. Potem, kiedy czytelnik wydaną już książkę, jest mi nieswojo, że to ja napisałem. Czasem jestem tem przygnębiony, czasem znów mam radosne niespodzianki. A prawdziwa radość — to jak panu mówiłem — że słowo pójdzie z serca i trafi do serca.

— Pracuję — nasepia się Jan Wiktor i waży w głębi rzecz, którą ma powiedzieć — nad narodzinami Judyma. Chcę, żeby się narodził Judym, ale inny. Taki, co by tę rozdartą sosnę zwał, bo ona już do niczego, nikomu nie potrzebna, i rzucił ją na ogień, ludzie mieliby przeczem strawę ugotować, a biedak mógłby się ogrzać przy niej...

Mógłby się ogrzać... Czyż Wiktor nie zwala tej sosny? Czyż nie grzeje ludzi własnym sercem? Jaka jest tajemnica tego człowieka współczującego ludziom i zwierzętom, nawiedzającego chorych i broniącego gniazda ptaków przed srokami, mieszkającego wśród góralskich świątków, zwanego przez górali „ponem wieszczem” i składającego swoje zapisane kartki pod frasośliwym Chrystusem...

Ano, chyba dobroć. Chyba te wczesnie posiwiałe włosy. Chyba praca wyszarpywania wydobywania słowa jak z kopalni z dna człowieczego uczucia.



Dzieci ze szkoły powszechnej — wśród nich Kasia, co jadła „ziemnioki”